

STEFAN GRABIŃSKI

# KSIĘGA OGNI

A person's silhouette is shown in a sauna, with sparks falling around them. The scene is lit with warm, orange light.

 SAGA  
EGMONT

STEFAN GRABIŃSKI

# KSIĘGA OGNI

 SAGA  
EGMONT

Stefan Grabiński

# Księga ognia

Saga

*Księga ognia*

Zdjęcia na okładce: Shutterstock

Język, postacie i poglądy zawarte w tej publikacji nie odzwierciedlają poglądów ani opinii wydawcy. Utwór ma charakter publikacji historycznej, ukazującej postawy i tendencje charakterystyczne dla czasów, z których pochodzi.

W niniejszej publikacji zachowano oryginalną pisownię.

Copyright © 1922, 2022 SAGA Egmont

Wszystkie prawa zastrzeżone

ISBN: 9788728316009

1. Wydanie w formie e-booka

Format: EPUB 3.0

Ta książka jest chroniona prawem autorskim. Kopiowanie do celów innych niż do użytku własnego jest dozwolone wyłącznie za zgodą Wydawcy oraz autora.

Język, postacie i poglądy zawarte w tej publikacji nie odzwierciedlają poglądów ani opinii wydawcy. Utwór ma charakter publikacji historycznej, ukazującej postawy i tendencje charakterystyczne dla czasów z których pochodzi.

[www.sagaegmont.com](http://www.sagaegmont.com)

Saga jest częścią Grupy Egmont. Egmont to największa duńska grupa medialna, należąca do Fundacji Egmont, która każdego roku wspiera dzieci z trudnych środowisk kwotą prawie 13,4 miliona euro.

## Czerwona Magda

W strażnicy pogotowia pożarniczego panowała cisza północy. Światło latarni — czujki naciągniętej wysoko na haku pod stropem roztaczało przyćmiony wachlarz promieni na izbę kwadratową, z dwoma tapczanami pod ścianą i szafą na akta i hełmy zapasowe. Pod oknem przy stole siedziało dwóch strażaków nad partją warcab, puszczając od czasu do czasu kłęby żółtego dymu z długich, wiśniowych lulek. Grali znać bez przejęcia, tak sobie dla zabicia czasu, bo ruchy rąk były leniwe, jakby od niechcienia, gdy z twarzy znudzonych czuwaniem wiała nuda i senność. Czasem któryś ziewnął szeroko i rozprostował przygarbione ślęczeniem plecy, czasem bąknął półgębkiem jakąś uwagę. I znów zapadała cisza spowita dymem fajek.

Na tapczanach leżało dwóch dyżurnych; jeden pod lewą ścianą chrapał smacznie w oktawę tonów, gdy jego partner ze strony przeciwnej ćmił w milczeniu papierosa ze wzrokiem wbitym nieruchomo w pułap. W jakiejś chwili oderwał oczy od sufitu, przydusił dogasający ogarek i rzucił w kąt izby. Jeden z grających odwrócił się:

— Nie śpicie, panie sierżancie?

— Jakoś mi się nie klei. Grajcie dalej. Wolę dumać.

Wyciągnął się z powrotem na łóżku, splótł ręce pod głową i zapatrzył się w zamyśleniu w duży, wiszący obraz św. Florjana. Niewesoła znać była zaduma, gdyż twarz mu się chmurzyła raz po raz i co chwila ścigał boleśnie długie, czarne łuki brwi.

Jakoż miał się czem kłopotać sierżant pożarny, Piotr Szponar. Od trzech tygodni powróciła do miasta na służbę jego jedynaczka, Magda, a wraz z nią te same troski i obawy, które przed dwoma laty zmusiły do wydalenia jej w strony odległe, gdzie jeszcze o niej nikt nic nie słyszał.

Bo dziwnem też stworzeniem była córka strażaka. Wysoka, wątła i blada zwracała uwagę dużemi, czarnemi, wiecznie w przestrzeń zapatrzonemi oczyma i ruchami rąk, których nigdy opanować nie umiała. Ręce te równie blade jak twarz przebiegały ustawicznie jakieś nerwowe dreszcze czy skurcze, wywołując niespokojny, spazmatyczny ruch palców — długich, wąskich, wiecznie zimnych. Włosy miała bujne, czarne, które w lśniących kruczo wężach wymykały się z pod jedwabnej, ognisto-pomarańczowej chusty, jedynej ozdoby, na jaką stać było biedną dziewczynę.

Bo biedną była, bardzo biedną córka pożarnika. Matka Marta, podobno wielkiej piękności cyganka, odumarła ją wcześniej, pozostawiając w spadku naturę chorą jakąś, niesamowitą i tęsknotę do wielkich, bezkresnych stepów. Ojciec kochał Magdę uczuciem tkliwym i serdecznem, lecz jakby z odcieniem lęku przed własnym dzieckiem. Piotr Szponar bał się swej córki. Bał się jej białej jak marmur twarzy, jej wąskich, zaciętych uporczywie ust, jej długich a częstych zamyśleń. Lecz były i inne, głębsze przyczyny ojcowskiego lęku.

Oto żonie jego jeszcze, gdy wiodła pośród swoich życie nomadów, przepowiedzieć miała stara cyganka, że uwiedzie ją człowiek biały, osiadły, i że spłodzi z nim dziecię — dziewczynę, córkę płomieni, którą ojciec będzie zwalczał przez całe życie.

Wróżba zdawała się dziwnie spełniać. Marta dożyła tylko pierwszej jej połowy, porzucając dziecko na zawsze już w piątym roku życia. Z trwogą czekał Piotr na ziszczenie się niejasnej dlań zrazu części drugiej. Aż przyszedł czas,

w którym tajemnicze słowa wiedźmy zaczęły nabierać właściwego znaczenia. Magda Szponar miała wtedy lat 15 i służyła w mieście w fabryce tutek, gdy wybuchł pierwszy pożar: zapaliły się niewiadomo jakim sposobem skrzynie z bibułkami i pożoga rozszerzyła się na cały zakład w przeciągu kilku minut. Strata była olbrzymia; szła w krocie. Sprawcy nie wykryto nigdy. Natomiast po ugaszeniu pożaru znaleziono robotnicę, Magdę Szponar w małej salce środkowej cudem ocalałej z morza płomieni, rozpostartą na podłodze w głębokim uśpieniu. Dziewczyna prawdopodobnie przetrwała w tym stanie cały pożar i dopiero po dwugodzinnem cuceniu otworzyła ociężałe ze snu powieki. Jak zdołała wytrzymać przez godzinę bez uduszenia się w zamkniętym pokoju, otoczonym zewsząd falami ognia i w jaki sposób wogóle ocalał pokój, położony w samym środku płonącego budynku — pozostało na zawsze nierozwiązaną zagadką.

Po tym wypadku zmieniała Magda parokrotnie chlebodawców, służąc przeważnie jako pokojówka przy zamożniejszych rodzinach, jako garderobiana w kawiarniach lub panna sklepowa. I zawsze jakimś fatalnym trafem wkrótce po jej wstąpieniu do służby wybuchały pożary w domach i instytucjach, w których była wtedy zajęta. Przyczyna tych klęsk żywiołowych pozostawała za każdym razem niewyjaśnioną; ludzie stawiali zawsze już wobec faktu dokonanego.

Zrazu nikomu ani śniło się szukać jakiegoś związku między pożarami w mieście a Magdaleną Szponarówną, której zachowanie się poprawne i bez zarzutu nie zwracało na siebie niczyjej uwagi. W końcu jednak zaczęły wśród warstw miejskiego proletariatu krążyć jakieś dziwne pogłoski na temat częstych wypadków ognia w czasach ostatnich. Doszło bowiem do tego, że nieraz gorzało w mieście po dwa i trzy razy na tydzień i to — rzecz dziwna

— ciągle w tem samym miejscu; ogień jakby upodobał sobie pewne dzielnice — co więcej, pewne domy, rodziny, nawiedzając je w sposób szczególnie natrętny. Wreszcie ni stąd, ni zowąd, po okrutnym pożarze na Lewandówce, który spalił niemal doszczętnie świeżo wystawioną kamienicę miejskiego syndyka, gruchnęła nagle pogłoska, że sprawczynią tylu klęsk nie jest nikt inny tylko Magda Szponarówna, służąca w domu Doleżanów. Wzburzony tłum pospółstwa napadł na nią na środku rynku i byłby przeprowadził nad nieszczęśliwą doraźną egzekucję, gdyby nie interwencja ojca, powszechnie lubianego i cenionego obrońcy dobra publicznego i policji, która uprowadziła dziewczynę przed zemstą rozwścieczonego motłochu.

Przeprowadzone śledztwo nader surowo i ściśle nie wykazało winy podsądnej; sędzia śledczy stwierdził tylko ku powszechnemu zdumieniu na podstawie zeznań świadków i oskarżonej, że w przeciągu roku niespełna jej służby, zaszło w mieście przeszło 100 pożarów i to przeważnie tylko w domach jej chlebodawców w danej chwili. Nadto ustalono charakterystyczny fakt, dotyczący zachowania się Szponarówny w czasie podejrzanych pożarów: Oto w 50 wypadkach na 100 znachodzą ją po ugaszeniu ognia w stanie nieprzytomnym, prawie kataleptycznym, zwykle wewnątrz domu, który uległ klęsce. Oto wszystko. Dowodów winy bezpośredniej nie zdołali oskarżyciele przytoczyć ani w jednym wypadku; ani razu nikt jej nie przyłapał na gorącym uczynku. Owszem, o podpaleniu jakimkolwiek, zdaje się, nie mogło być mowy, gdyż, jak wynikało z zeznań świadków naocznych i poszkodowanych, dziewczyna od chwili wybuchu pożaru aż do ugaszenia pozostawała jakby w transie i nie ruszała się z miejsca; ponadto ogień wybuchał nie w bezpośredniej jej bliskości, lecz zwykle w pewnem oddaleniu, np. w drugim lub trzecim pokoju.

Kilku lekarzy-ekspertów, którzy okazali żywe zainteresowanie się tą sprawą, po dokładnem zbadaniu Magdy, uznało ją za istotę anormalną, z przewagą sił podświadomych, skłoną do katalepsji a nawet somnambulizmu.

Ostatecznie zapadł wyrok uwalniający; lecz pocichu poradził sąd sierżantowi pożarników, by córki do służby więcej nie posyłał, a to ze względu na podniecenie opinii publicznej, która była stanowczo przeciw Magdzie. Jakoż mimo wyroku ułaskawiającego, odtąd Szponarówna, przezwana czerwoną Magdą, uchodziła za podpalaczkę i czarownicę, której wszyscy schodzili z drogi, bojąc się przypuścić ją na próg swego domu.

Znękany ojciec wysłał ją w strony odległe do krewnych na wieś w nadziei, że po jakimś czasie będzie mogła powrócić, gdy zatrze się pamięć katastrof, a ludność uspokoi się i zapomni o czerwonej Magdzie.

Jakoż spędziła na wsi dwa lata, nie dając o sobie znaku życia. Wtem przed trzema tygodniami powróciła nagle do miasta bledsza niż zwykle, z zapadłymi policzkami i śladami łez w zaczerwienionych oczach. Na pytania odpowiadała niechętnie, z widocznym przymusem i tylko rwała się do służby, nie chcąc być ojcu ciężarem w domu. W końcu ustąpił na usilne błagania i choć z ciężkim sercem, wyrobił jej miejsce w domu bogatego kupca Duchnica przy ul. Młynarskiej. Dziewczyna objęła tam miejsce służącej i od tygodnia spełniała już gorliwie obowiązki.

W mieście zjawienie się czerwonej Magdy przeszło jakoś bez wrażenia i zdawało się, że nikt na to nie zwrócił uwagi. Lecz Piotr Szponar gryzł się tym powrotem ogromnie i z dnia na dzień wyczekiwał złych „nowin”. Bo mimo wyroku władz, mimo wyraźnych zaprzeczeń z ust samej Magdy, pożarnik nie wierzył w jej niewinność; gdzieś

głęboko, na samym dnie duszy, drzemało przekonanie, że wszystko, co ludzie o niej mówią, jest okropną i smutną prawdą. On, ojciec i sierżant straży pożarnej w jednej osobie, mógł coś o tym powiedzieć — on, który gasił własną ręką wszystkie po kolei pożary, jakie opinia ludzka wiązała w tajemniczy sposób z jego Magdą. Miał czas już poznać dokładnie wszystkie towarzyszące im symptomy i zbadać je do gruntu; odróżniał je jakimś osobnym, swoistym zmysłem od innych „zwykłych”, którym też napatrzył się do woli. Nie na darmo dosłużył się stopnia sierżanta i uchodził za pierwszorzędną siłę pożarniczą. Gdyby go spytano na spowiedzi: — Sierżancie pożarny, Piotrze Szponar — czy córka twoja jest winną? — odpowiedziałby, że nie, o ile chodzi o jej własne sumienie i pełną ludzką świadomość. Lecz gdyby go ktoś zapytał, czy wierzy w bezwzględną niewinność Magdy, zaprzeczyłby równie stanowczo.

Najwięcej go jednak bolało, że to właśnie jego córka, jego krew. Tkwiła w tym jakaś bolesna ironia, że jego rodzone dziecko zdawało się stwarzać dookoła siebie ową niszczącą siłę, którą on tępił zajadle od tylu lat. Czasami przychodziła dziwna myśl, że może właśnie dlatego, może właśnie za tę zaciętość, z jaką zwalczał ogień, przyszedł nań dopust; może okrutny żywioł mścił się na nim w ten sposób? Nie wiadomo. Szponar błędził i cierpiał ogromnie.

Oto i teraz, w tej śródnocnej godzinie, trwożne myśli nie dawały spokoju, wałęsając się, jak upiór, pod czaszką.

Dźwignął się ciężko z tapczanu i aby czymś odpędzić męczącą zmore, zaczął przeglądać regulamin pogotowia wycięty na ścianie. Lecz i to znać mu się wkrótce uprzykrzyło, bo odwrócił się znudzony do tablicy na rozkazy i kredą jął kreślić jakąś karykaturę.

Wtem targnął ciszą głos dzwonka: trzy ostre, dojmujące ukłucia. Automaty pożarowe grały.

W strażnicy wszczął się nagły ruch, przemykały pod oknami w nerwowym pośpiechu jakieś postacie. Szponar z bijącym sercem studiował wskazówki automatu. Każda chwila przynosiła mu nowe szczegóły, sprecyzowane na minutę, sekundę. Strażak wlepił oczy w lśniąca platynową tarczę, ale je wnet zamknął z powrotem. Jak gracz niepewny karty trzyma ją długo pod ręką, zanim odwróci i chwilę zgaduje — tak pożarnik nakrył trwożnie powiekami oczy i bał się spojrzeć w twarz prawdzi. Wreszcie podniósł je, wpijając głodne spojrzenie w aparat. Tu już była odpowiedź gotowa: zwięzła, wyraźna, nieubłagana.

— Gore! Dzielnica IX. Garbarze. Młynarska.

Szponar zachwiał się i zbladł. Przeczucie nie omyliło go. Tak — to było tam — na pewno! Gdzież by indziej? Niewątpliwie paliło się u Duchniców! Ogniowa kalwaria rozpoczynała się od nowa. Już w trzecim tygodniu służby! Zawierucha bólu i buntu przegięła go na chwilę ku ziemi. Lecz się przemógł. Nie było czasu do namysłu; należało działać, wydać rozkazy, objąć dowództwo.

Już grała na alarm trąbka, zwołując pogotowie, już drzemiący jeszcze przed chwilą pompierzy przypasywali pospiesznie gurty, nakładali szlomy, przerzucali przez plecy zwoje sznurów i linewek ratunkowych.

Sierżant wybiegł ze strażnicy na dziedziniec. Tu pod wspinalnią i w magazynie wrzały już gorączkowe przygotowania do wymarszu. Przez szeroko rozwarte wierzeje wyprowadzano ze składu parę sikawek, wyjechał samochód rekwizytowy i dwie kominiarki do wyłącznej dyspozycji załogi. W blasku reflektorów połyskiwały na głowach metalowe kaski, zapalały się zimne światła w obuszkach toporów.

Szponar, spokojny już i zrównoważony, wydawał zlecenia. Donośnie brzmiał na dziedzińcu głos jego równy, pewny,

męski.

— Wentyle w porządku? — rzucił w pewnej chwili pytanie.

Parę posłusznych ramion pochyliło się w lot ku tłokom sikawek i przeprowadziło próbę.

— Panie sierżancie, melduję, że wentyle grają — zgłosił rezultat jeden z pompierów.

— Dobrze. Hej, chłopcy! — krzyknął zajmując stanowisko na jednym z wozów — komu w drogę, temu czas! Z Bogiem, ruszajmy!

Zadrgała w powietrzu rześka pobudka trąbki As, rozskoczyły się na obie strony skrzydła bramy wyjazdowej i wśród zgiełku hubek, w krwawym świetle zapalonych pochodni runęły w ciszę ulic wozy pożarników: na czele pędził w szalonym tempie samochód z rekwizytami, za nim drugi zjeżony żebrami drabin, widłami, dzaganami i tłumnicami, z potężnym zbiornikiem wody w pośrodku, za nim dwie sikawki typu „Matador” z czeladzią do obsługi, na końcu auto osobowe z załogą pod dowództwem sierżanta...

Była trzecia nad ranem, głucha, listopadowa noc. Gwałtowny wiatr wypadał z parowów ulic i zaułków i miotał w oczy całe przygarście prochu, pyłu i brukowego kurzu. Skądś, z ogrodów, leciały zżółkłe tuleje jesiennych liści i z suchym szelestem toczyły się po płytach chodników...

Minęli Aleje, skręcili na Świętojańską. Z dala, ponad wieżami farnego kościoła, gorzała łuna pożarów. W oknach ukazywały się wylęknione głowy, w bramach zaspani dozorczy; na placach zaczęły skupiać się gromadki ludzi.

A w puste, wydłużone pierzejami latarń ulice wpadały zwoje dźwięków ostrych, krzykliwych, odezwy pożarniczych hubek, głos trąbki As metaliczny.

— Gore! Gore!

Docierali do placu św. Ducha. Sponad zrębów kamienic strzeliły w niebo krwawe siklawy ognia, wił się dym w czarnych, żałobnych przegubach. W powietrzu czuć było już swąd spalenizny, słysząc wzrastający wciąż zgiełk ludzi...

Minęli plac, lotem strzały okrążyli budynek poczty i z wściekłą furią runęli w ujście Młynarskiej. Tu w głębi po lewej uderzyła w oczy groźna krasa pożaru. Palił się trzypiętrowy dom kupca Duchnica. Ogień, wybuchły na wysokości pierwszego piętra, podsycany bez przerwy podmuchami jesiennego wiatru, ogarnął w przeciągu kwadransa wyższe piętra i sięgał już purpurową wstęgą po parter. Mimo nocnej pory wkoło jasno było jak w dzień. Wśród krzyku ludzi i trzasku płomieni wpadło pogotowie na duży, w tej chwili tysiącem iskier zasypyany skwer przed kamienicą. Przyjął ich piekielny zgiełk i jęki. Na ulicy, wkoło domu leżały stosy wyrzuconych z mieszkań sprzętów, całe hałdy kufrow, szaf, kobierców w dzikim chaosie nieładu.

Pożar wybuchł tak nagle i rozszerzył się tak szybko, że wiele osób zdołało zaledwie umknąć w samej bieliźnie. Innym drogę odcięły buchające z dolnych pięter płomienie, ci pozostali w płonącym domu, czekając pomocy strażaków. Co chwila ukazywały się w oknach wybladłe twarze nieszczęśliwych, daremnie żebrząc o ratunek, który nie nadchodził. Jakaś kobieta, przywiedziona czekaniem do rozpacz, rzuciła się z drugiego piętra na bruk i skończyła na miejscu. Na ten krytyczny moment nadjechali pożarnicy. W mgnieniu oka usunięto z ulicy gawieź i ułożono linię wężową od domu do brzegu sąsiedniej rzeki. Zanim gumowe ssawki nabrały dostateczną ilość wody do zbiornika, rozpoczęły swą działalność potężne ekstinktory. Dzielny „Rese” i „Matador”, zasilane gorliwie przez podręczne hydrofory, natarły strumieniami wody

na ognisko pożaru: pierwsze piętro i parter. Równocześnie przystawiono do muru pięć drabin wysuwalnych i dwa gęsiorki. Unosząc prawą ręką wysoko w górę prądnicę węża, wspiął się pierwszy na szczeble sierżant Szponar.

— Za mną, chłopcy! — zachęcił gromkim głosem towarzyszy.

Sześciu pożarników, zagrzanych jego przykładem, zaczęło wstępować po drabinach ku zagrożonym piętróm; za nimi w ślad pełzały ku górze węże wylotowe, przymocowywane po drodze podwiązkami do łąt i szczebli. Dosiąwszy poziomu pierwszego piętra, puścił Szponar mocny, ześrodkowany prąd wody do mieszkania naprzeciw, w którym kłębiły się gęste runa ognia i dymu. Czerwona topiel na chwilę wkłęsała gdzieś w głąb, odsłaniając wewnątrz pokoju na pół ogołoczonego ze sprzętów.

— Stąd chyba już uciekli — wyciągnął szybki wniosek. I pozostawił opiekę nad pierwszym piętrém dwóm towarzyszom, którzy dogonili go tymczasem.

Ponieważ drabina nie wysuwała się wyżej, przeto zaczepił się karabińczykiem o przedostatni jej szczebel na poziomie pasa, chwycił podaną mu z dołu przez kolegę drabinę hakową w obie ręce i podniósłszy wysoko w górę ponad głowę, zahaczył ją w mig krukami o okno drugiego piętra. Po dokonaniu manewru z bajeczną wprawą i chyżością zaczął wspinać się po szczeblach z dobytym toporkiem w prawej.

Już płomień, przeżarłszy opustoszałe dwa dolne poziomy, sięgnął krwawą grzywą po trzeci; już długie, gorące języki podlizywały balkony i ganki drugiego piętra, już wciskały się czerwone żądła przez drzwi i okna. Rozległ się brzęk pękających szyb zmieszany z krzykiem ludzkim.

Na jednym z balkonów zbito się w gromadkę kilkunastu mieszkańców, zasłaniając się rękoma przed dojmującym już z bliska żarem.